

PRÓBA

- Ty wcale nie jesteś mądry!

Dopiero później zdałem sobie sprawę, że zabrzmiało to jak skarga oszukanego dziecka.

- Twoja światłość, twój rozum! Co to znaczy, pytam się, co to znaczy? ILE to znaczy?

Frazes

i pustka. Wiedza - iluzja. Mydlana bańka rozdymana pychą - jak wiele jej trzeba, by mieć czelność nazywać się mądrym! Nie jesteś mądry, mistrzu... jesteś przemądrzały...

Mistrz stał w kącie swego pokoju. Odwrócony tyłem grzebał pośród sterty starych pism oraz jeszcze starszych, wypłowiałych ubrań wymieszanych z nimi na olbrzymim antycznym fotelu. Nagle wydał mi się groteskowy, jego figura, nie zgarbiona, pochylona nad fotelem, a w tle szare ściany, dywan, plamy na podłodze, których nie zasłaniał, no i kurz, wszechobecny, tumany kurzu zawisłe pośród ciężkiego powietrza, mozolnie wspinające się po nim aż pod od ścian o odcień tylko bledszy sufit. Przerwałem na moment, bowiem Mistrz, najwyraźniej szukający czegoś pomiędzy łachami, papierami i wzbijanymi w trakcie nowymi chmurami kurzu, wydawał się nieobecny. On jednak słuchał z uwagą.

- Istnieje kilkanaście definicji mądrości, ty spełniasz ze trzy, bezużyteczne w dodatku. Brak wykształcenia to błahostka, ale brak weryfikacji twojej wiedzy, spójrz, Mistrzu, brak możliwości, szansy jej weryfikacji...

Odwrócił się i wtedy spostrzegłem na jego twarzy cień uśmiechu. Widziałem już, że impet mych słów, obliczony na zaskoczenie Mistrza, mija go i przechodzi obok nie osiągnawszy celu, wiedziałem, że w zasadzie powinienem przestać, a jednak niemal fizycznie czułem ciężkie, skłębione zdania wezbrane u mojego gardła; oratorski zapal porwał mnie, zniewoliły objęcia słowotoku.

- A przecież cała jej konstrukcja opiera się na dogmatach, bo tylko dogmat wyrывa ją z abstrakcji, tylko on nadaje jej sensy i ubiera w treści. Twoja wiedza jest ogromna? A poza jej obszarem morze chaosu i zaprzeczenia, a tam kolejne dogmaty, z których każdy godzi w fundamenty twoich prawd. Twoja wiedza jest wielka? To kolos na glinianych nogach; i nie kolos nawet. Wszystkie informacje jakie posiadasz znaczą tyle co - machinalnie rozejrzałem się w poszukiwaniu porównania, wzrok mój przyciągnął jedyny wyraznie kontrastujący z resztą wystroju element - co dane w komputerze pozbawionym organizującego je programu, informacje te zawsze bowiem mogą kryć fałsz, którego ty po prostu nie będziesz w stanie

wytropić. Wszelkie prawdy możesz głosić ze stanowczością równą średniowiecznym naukowcom rozprawiającym o układzie geocentrycznym. Nie mogąc uczynić się wszechwiedzącym, zawsze skazany będziesz tylko na domniemania. Bo wiedza jest ograniczona. Skończona. A każda, najwyższa nawet liczba dzielona przez nieskończoność to zero.

* * *

Monikę znałem od dawna. W zasadzie nie było to nawet wrażenie, ale jakaś irracjonalna pewność, że już gdzieś, kiedyś - wiele lat temu - spotkaliśmy się przelotnie, czy może po prostu minęliśmy się na ulicy i właśnie jej twarz zapadła mi w najgłębsze, uśpione pokłady pamięci. Jeżeli nawet było tak w istocie, nim ją poznałem upłynąć musiały kolejne lata. Można by rzec, iż nie ma przypadku, lub też że przypadek jest wszystkim - faktem jest jednak, iż lotnicze pokazy nie interesowały mnie wcale, nigdy też wcześniej na żadnym nie byłem i akurat tego dnia, kierowany na poły nudą oraz jakimś wewnętrznym impulsem, przeszedłem się na doroczny Festiwal Lotniczy. Monika wymieniała uwagi z jakimś Francuzem, szło jej tak dobrze, iż wziąłem ją za jego rodaczkę; chcąc wykorzystać nieczęstą okazję praktycznego testu mojej francuszczyzny szybko włączyłem się do rozmowy. W tym miejscu, dokładnie rok później odbył się nasz ślub, a najpiękniejszym prezentem była specjalna akrobacja, którą na naszą cześć wykonali jej koledzy z Klubu Spadochronowego. Z mojego dziwnego *deja vu* zdałem sobie sprawę jeszcze później i od tej pory miałem uczucie jakbym wtedy, na Festiwalu, Monikę nie po prostu poznał, ale, uprzednio utraconą, właśnie odzyskał. Nie chciałem utracić jej raz jeszcze, tym razem na zawsze.

- Nie ma mowy.

Usiadła mi na kolanach. Zawsze tak robią. Ona też. Siada na kolanach i na to nie ma obrony, moim argumentom przyprawiony zostaje wielki cudzysłów, albo wręcz nawias, rozrzedzają się i tracą siłę, a Monika już na samym starcie jest o parę punktów do przodu.

- Chyba to już uzgadnialiśmy - powiedziała.

- Oczywiście... - przede wszystkim musiałem wydostać się z jej objęcia, więc teraz ja obezwładniłem ją miękkim dotykiem, jednocześnie próbując powoli podnieść się z fotela. Poranna kawa była dobrym pretekstem. Teraz był mój ruch, ale ja odwrócony tyłem milczałem i milczeniu ze wszystkich sił próbowałem nadać ciężar, aż skrywane za cienką zasłoną emocje nie pozwoliły jej go wytrzymać.

- Uzgadnialiśmy, że nie mamy prawa niczego sobie zabronić, żadne z nas - odezwała się. Ale głos nie podporządkował się jej całkowicie i drgnął lekko, przez malutki ułamek sekundy zagrały w nim upór i pełna napięcia determinacja. Monika wyczuła to i zamilkła raptownie.

- To tak jakby tobie zakazać tych wariackich badań - zaczęła jednak znowu.

- Ale one nie są dla nikogo niebezpieczne.

- Nigdy nie wiadomo.

Podeszła do skrzynki Puchatego i nachyliła się:

- Puchaaaty!

Królik oczywiście momentalnie skorzystał z okazji by znaleźć się na jej rękach. Nagle obróciła

się z uśmiechem w moją stronę. Puchaty był szczęśliwy, ramiona Moniki stanowiły dla niego najwyższą nagrodę, a ja dobrze wiedziałem dlaczego. Spojrzałem w jej brązowe, ciepłe oczy, na jej brązowe włosy, na miękkie kształty obleczone także w stonowane brązy. Wydawała się oazą spokoju -

i taka też była. Istniały tylko dwie sytuacje zdolne wydobyć z niej diabolicę. O jedną za dużo: skoki spadochronowe.

- Złotko, ależ tu nie chodzi tylko o ciebie. Ryzyko jest duże i ja ryzykuję razem z tobą, i bardziej jeszcze: wyobraź sobie, że to ja skoczyłem i coś mi się stało...

- Ryzyko jest minimalne, zapasowy spadochron...

- Nie jest minimalne! - nie potrafiłem się już powstrzymać - Boję się, bo czuję, że coś pójdzie nie tak.

- I co, argumentem ma być przeczucie? Zastanów się jak to brzmi w twoich ustach.

Monika spoważniała, ale nie odbiła mojego gniewu. Była spokojna, a za jej spokojem stało absolutne przekonanie o własnej racji. I dlatego nie potrafiłem wytrzymać jej spojrzenia. Jak miałem jej wytłumaczyć? Że nie przeczuwałem, bo przeczucia zawsze miałem w pogardzie, ale widziałem jej przyszły akrobatyczny skok z jasnością, tym bardziej przerażającą. Że owa dziwna, nie dająca się uzasadnić wiedza, która tak często - za często - towarzyszyła mi w sprawach związanych z Moniką podsuwała mi wyraźne obrazy: lot, arcytrudny, rekordowy manewr - i upadek.

Bo nie mogłem, nie miałem prawa jej zabronić. Usiadłem znowu, z głową opartą na pięści. Następny, dziesiąty z kolei dzień kończył się tak samo.

Następnego ranka, którego przenikliwy i, jak mi się wtedy wydawało, dziwny chłód

od samego wyjścia z domu przejął mnie do szpiku kości, byłem szalony. Przez całą drogę nie odzywałem się, aż wreszcie na lotnisku wyszedłem z siebie: latałem pomiędzy ekipami technicznymi, sam własnoręcznie sprawdzając sprzęt, po raz dziesiąty konsultując się z koordynatorem, upewniając się w rozmowach z mającymi mnie od paru już dni dość pilotami, mijając bezładnie rozrzucone stanowiska kamer, roztrącając gapiów. Gdy po raz kolejny wróciłem na miejsce startu, Monika była już w samolocie, widziałem jej nos na szybie. Pomachała mi.

Miała to być rekordowa kombinacja. Trójka skoczków najpierw szybuje w powietrzu, łączy się, przywiązuje nawzajem długą liną, rozdziela, każdy wykonuje akrobację, wreszcie rozplątuje spadochron. Ewentualnie uruchamia zapasowy. I ląduje bezpiecznie.

To właśnie rozgrywało się na moich oczach, choć stałem za daleko, a wzrok przesłaniała mi wściekła bezsilność. Skok, lot... o wiele za długi... nie, jednak nie, dalej jak w planie: lina, odejście i ciąg wspólnych fikołków... I spadochrony....

Monika spokojnie odpina kolejne paski. Wie, że zdąży wygrać wyścig ze zbliżającą się ziemią.

Jedno z wiązań nie puszcza, Monika przewycięża jego upór własnym, jeszcze większym. Ziemia jest już blisko. Monika ocenia odległość. Chwyta za przedostatni pasek. Połączony z nią liną partner już zdążył to zrobić. Monika chwilę waha się: widzę jak jej ręka mija uchwyt „bezpiecznika”. Ale ona wie, że zdąży. Odpina pasek.

* * *

Przez długą chwilę Mistrz dał wybrzmieć ciszy. A potem usiadł naprzeciw przy stole, a gdy pochylił się ku mnie i ujrzałem jego twarz z bliska w świetle elektrycznej lampy, dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że ów cień uśmiechu był tam zawsze i od zawsze. Po prostu stanowił nieodłączny komponent zaczynających rysować się zmarszczek, szarych oczu i włosów, szarych ścian pokoju i ledwo bledszego sufitu, gratów i sprzętów, spoczywającego na fotelu stosu ubrań przemieszanych z pismami, dywanu, plam, kurzu. Mógłby zawierać w sobie ironię i sarkazm, jednak nie było ich tam - jedynie spokój i namysł.

- Bzdury. A raczej: racja, racja i bzdura. Bo to co mówisz, to wszystko prawda i tylko konkluzja jest niewłaściwa. Opierasz się bowiem na słusznych założeniach, choć nie nowych, dodajmy; nawiasem mówiąc rozczarowałem się widząc, że zwiastujący świeżość zapach skrywa

Kanta i agnostyków zaprzęgniętych do zarzucenia mi braku sokratejskiej skromności. Umyka ci błąd, jakim obarczone jest twoje rozumowanie w momencie gdy punkty te czynisz podstawą całkowitej negacji. Pomijam nawet oczywisty paradoks twojego oskarżenia: jeżeli wszak mówisz, że nic nie jest pewne, a wszystko wątpliwe, to dotyczy to również i twego twierdzenia, które w ten sposób samo się obala. Rzecz pierwsza: nie możesz myśleć w próżni.

Mistrz, który wcześniej na moment odwrócił się ode mnie wstał nagle i w jego rękę zobaczyłem słownik.

- Spójrz: słownik języka wspólnego dla kilkudziesięciu milionów ludzi. Osiemdziesiąt tysięcy haseł. Spróbuj wyjaśnić któreś z nich - definicja zawsze składa się z kolejnych słów, te mają własne definicje, i tak dalej. Czy któreś z nich jest kluczem, punktem odniesienia? To obieg zamknięty, a więc nonsens, rzekłbyś, gdyby nie to, że owe miliony ludzi, i my wśród nich, doskonale porozumiewają się w tym języku, a osiemdziesiąt tysięcy słów nabiera w ich ustach realnych sensów. Bo warunki, w których żyją już z góry określają pewną mapę znaczeń, wspólne są motywy, dążenia, środki ich realizacji, system wartości. Czy mógłbyś się zabić? Pewnie tak, ale... nie zrobisz tego. Twój instynkt samozachowawczy nie pozwoli ci na to. I jest to jeden z wielu twoich punktów odniesienia, jak najbardziej realny i prawdziwy, a to dlatego, że zweryfikowany empirycznie. Widzisz? Jakakolwiek liczba dzielona przez nieskończoność to nie zero: to prawie zero, a to różnica. Empiria - praktyka jest tym, co porządkuje twoje doznania, co hierarchizuje wnioski i właśnie ona jest jedynym weryfikatorem ich słuszności. - Mistrz odłożył słownik i znowu, bardzo powoli, nachylił nade mną.

- Posiadłem dużo wiedzy, wątpliwej, jak mówisz. I jestem mądry. W powszechnie przyjętych kategoriach mądrości - jestem mądry.

* * *

Nie pamiętam ryku syren, od których ogłuchłem, ani szarpaniny, spojrzeń i walki z noszowymi. Kiedy zbliżyłem się do niej, oczy miała wciąż otwarte:

- Nie... nie zdążyłam, prawda? Nie udało się.

- Dokonałaś tego, mała.

* * *

- Skłamałem. Nie odpięła ostatniego paska, słyszysz? Moment wcześniej straciła sekundę, zawahała się, chciała uruchomić zapasowy spadochron. Nie zrobiła tego, ale z tym właściwym też już się nie udało, było za późno. To nie jej spadochron zamortyzował upadek, to jej partner rozwinął swój chwilę wcześniej, a ja widziałem jak lina napina się, ale nie może już powstrzymać Moniki i jak ona potem odbija się od ziemi. Rozumiesz? Nie rozumiesz, bez sensu. Skłamałem jej.

- Nie.

Mistrz pokręcił głową. Podszedł do mnie, położył dłonie na moich barkach i przytrzymał, póki te nie przestały drżeć.

- Nie - powiedział. W jego głosie zabrzmiał ton prostego wytłumaczenia, aż uniosłem głowę i spojrzałem na niego.

- Nie skłamałeś jej. Powiedziałeś prawdę. Ufała ci, tak? Bezgranicznie?

- Nie odpięła paska...

- Ależ to nie jest istotne. Ona spadła tam i zabiła się. Musiała się rozbić, mówisz, bo decyzję podjęła za późno, gdy otwarcie spadochronu - KTÓREGOKOLWIEK - niczego nie zmieniało. Chodzi tylko o to, który faktycznie amortyzował upadek. Dla ciebie to spadochron jej partnera. Dla niej - ten właściwy, jej własny - a więc wygrała. Już wiesz? Powiedziałeś prawdę. Stworzyłeś ją.

- Ale ja nadal wiem jak było naprawdę.

- Naprawdę... Pamiętasz dyskusję o punktach odniesienia? No i jak jest naprawdę? Pamiętasz układ słoneczny i średniowiecze: wtedy Słońce kręciło się wokół Ziemi. Naprawdę. Bo kłamstwo jest nim tylko wtedy, jeżeli istnieje możliwość jego weryfikacji.

* * *

- Zastanowiłeś się, Sławku. - właściwie nie spytał, a oznajmił Szef, a jednak odczekał chwilę, jakby na moją odpowiedź.

- Jako nasz pracownik, członek zespołu badawczego, oczywiście doskonale orientujesz się w swojej decyzji. Pytam jednak z obowiązku. Czy wiesz co to jest AIA.

- Sztuczna inamnezacja.

- Wiesz, że jako członek zespołu poddajesz się jej jako pierwszy.

- Tak.

- Eksperyment zmieni całkowicie twoją osobowość.
- Wiem.
- Wiesz, że nieodwracalnie utracisz świadomość i pamięć.
- Tak.
- Wiesz, że możliwości określenia nowego rysu osobowościowego są bardzo ograniczone.
- Tak.

Szef zawahał się, co mnie zaskoczyło, ale tylko na moment, bowiem odgadłem pytanie.

- Czy..?

- Nie, nie przez Monikę. Pogodziłem się. Ale...

Zobaczyłem, że ręka Szefa spoczęła na dźwigni.

- ...ale pomogła mi wiele odkryć.

- Wiesz więc, że w nowej postaci nie będziesz już sobą i nie będziesz mógł być, nawet nie zdając sobie z tego sprawy?

- Będę sobą.